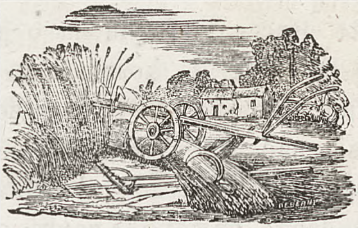
Tom II. 11. Listopada 1870. Nr. 14

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces.

V.

Franek procesuje Szymona.

Nastała wiosna. Franek najął sobie ludzi do orki, boć sam ani umiał ani mu się chciało pracować, i rozkazał im przeorać miedzę między swoją a Szymona rolą i przyorał dla siebie cały zagon Szymona, a to dlatego, że przypomiał sobie, że tam kawał gruntu, który dawniej był jego ojca, dziś Szymon posiada. A to się tak stało, że Szymon odstąpił na prośbę Antoniego swój kawał gruntu daleko lepszy, który przypierał do gruntów Antoniego w zamian za kawałek gruntu Antoniego, co do jego gruntu przypierał. Ugodzili się tak między sobą przy świadkach bez pisania, boć im na myśli nie było podnosić kiedyś o to sprzeczkę. — Upominał Szymon łagodnie Franka, przedstawiał mu jego niesłuszność, lecz Franek mu zagroził procesem. Ustąpił Szymon dla lubej zgody, boć myślał, że dobrocią poprawi Franka. Wkrótce potem pojechał Franek do miasta i swoim zwyczajem wszedł do szynku, a płacił każdemu, kto się nawinął. Nawinął się jakiś pisarz pokątny, i kiedy Franek narzekał na Szymona i odgrażał się, że go wsadzi do kryminału, namówił go łatwo do procesu. Franek dał na stemple,

na wpis, za pisanie i co przepił na dobrą sprawę, toby zato tęgiego konia był kupił. Powrócił Franek do Zbuduwiec i rozgłosił w karczmie, że procesuje Szymona o grunt, a jak wygra, to mu całą chałupę zabierze za koszta i za kradzież. Ludzie kiwali tylko głowami i nie wierzyli jego przechwałkom; gotowi byli wszyscy przysięgnąć, że Franek nie ma do Szymona żadnego żalu i pretensji, boć to Szymon, jeżeli swego nie dołożył, toć pewnie nigdy cudzego nawet nie zapragnął. Ubolewali nad Szymonem, że za jego dobre serce Franek mu odpłaca niewdzięcznością, boć nic bardziej nie boli jak niewdzięczność. Szymon nie frasował się tem wiele i nie zląkł się procesu. Kiedy mu woźny przywiózł pisanie ze sądu, by się stawił na termin do obrony, pojechał do porządnego adwokata, temu całą rzecz opowiedział, i świadków powołał. Adwokat poznał, że jego słuszna, przyjął na siebie proces, a nic pieniędzy od Szymona nie wziął, dopóki procesu nie ukończy i nie wygra, bo wtedy przeciwnik wszystko będzie musiał zapłacić. — Przyszło do słuchania świadków. Franek buntował i obiecywał nagrody, byleby na jego stronę świadczyli, lecz nikt się na to nie złakomił, boć sumienie rzecz pierwsza W samą porę był Frankowi proces, boć mu się robić nie chciało, a kiedy mu się w chałupie trochę znudziło, zaprzęgał konie, naładował na wóz prezenta dla pismaka, i nuż dalej do miasta, by jak to mówił, pochodzić trochę koło procesu Szła jedna krówka po drugiej na proces, a końca ani widać — to dopiero początek, bo pisarz pokątny wiedział jak kręcić, aby ostatnią kroplę wydusić z Franka. Nie było już co pozbyć z domu, a tu koniecznie pieniędzy na proces, boć nie wypada porzucić w połowie, kiedy się nań już tyle straciło. – Franek zabrał ostatki z domu i pojechał do miasta, by pochodzić koło procesu.

Zapadł wyrok, i Franek przegrał co się zowie i do tego kazał sąd zapłacić mu kosztów procesu kilkadziesiąt reńskich w bardzo krótkim terminie. Zmartwił się Franek nie mało, a pisarz pokątny go pociesza i nuż mu perswadować: „Nie turbujcie się gospodarzu, my ich tu jeszcze wszystkich zprocesujemy, zrobimy rekurs do apelacyi, a nasza wygrana, a świadków i Szymona wsadzimy do kryminału za krzywoprzysięstwo. Za

rok nietylko grunt wasz, ale i cała zagroda Szymona. Na to jednak jeszcze wiele pieniędzy potrzeba, boć to w wyższym sądzie, to i większe stemple i inne różne wydatki: temu wściub i temu gardło zatkaj, a jak to mówią, kto smaruje, ten jedzie. Tak robił i Szymon i wygrał, a wyście tych głupich pieniędzy żałowali, i dlatego przegrali.“

Kiedy Franek zmartwiony zalewał się wódką dla ochoty i pocieszenia, a konięta zostawił na opatrzność boską, ktoś się zlitował nad niemi i zabrał z wozem jak swoje. — Przyszedł nieborak piechotą do domu, a tu pusto jak w grobie. Nańka zwąchawszy, że nie ma się już czego trzymać, pościągała jeszcze co mogła, zabrała się z swym kochankiem i powędrowała swoim zwyczajem, że i słych po niej zaginął. — Rozpacz ogarnęła Franka, wszędzie pustki, wszędzie próżno, i żona go porzuciła, i sługi pouciekały, i koniki ostatnie ukradli.

Poszedł Franek do arendarza i nuż go prosić, nuż mu przedstawiać, że proces pójdzie dobrze, ale jeszcze trzeba pieniędzmi nadrobić, a tu nie ma zkąd wziąć, czyby mu na grunt jego i chałupę nie pożyczył sto reńskich.

— Ny co mi do waszego procesu, wygracie to dla siebie, ale na wasz grunt, to wam mogę pożyczyć sto reńskich, ale mi podpiszecie, ot tak na koniuszku, żeby to choć ślad został, że wyście mi winni.

Podał mu arendarz koniuszek papieru, na którym za sto pożyczonych napisał półtora sta dłużnych, a Franek ochoczo postawił krzyżyk na koniuszku i już miał pieniądze na rekurs. Dorwawszy się pieniędzy, zostawił chałupę na opatrzność Boga, a pobiegł co tchu do miasta do pismaka. Zrobili rekurs i podali, a na stemple i na łapowe zostawił Franek większą połowę pieniędzy. — Wrócił do domu i czeka końca. — Ale nie wysiedzieć mu w domu samemu, bo i sumienie trapi w samotności i bieda wyziera z każdego kąta, że aż strach zbiera. Przesiadywał więc w karczmie, i morzył robaka wódką, i nim się doczekał wyroku ze sądu wyszszego, przepił resztę pieniędzy. Gdy tych brakło, rozbierał stodołę i po kawałku sprzedawał arendarzowi, a czekał, a nic nie zrobił, boć na co tu pracować,

kiedy to przyjdzie mu wyrok i stanie się znowu bogatym bez pracy. Nadszedł nareszcie i ten wyrok nieszczęsny, a Franek nietylko że zupełnie przegrał, ale za karę niesłusznego procesu skazany został na zapłacenie stu reńskich, prócz kosztów sądowych. Gdy termin zapłaty minął, zjechała komisja, sprzedali grunt i chałupę, którą arendarz kupił, bo miał na niej dług, a Frankowi nie został się ani szeląg.

VI.

Jakie życie, taka śmierć.

Wałęsał się jeszcze czas jakiś Franek po wsi. Ludzie stronili od niego i bali się go, bo jak wieści były, że Franek z drugim jakimś urlopnikiem włoczęgą oddali się kradzieży, bo zawsze jakoś miał pieniądze na wódkę i po całych dniach w karczmie przesiadywał. Gdzieby zaś nocował, o tem nikt nie wiedział. Kradzieże zaś były częste, a konie z pastwiska przepadały bez śladu. — Otóż to jednego ranku powstał wielki hałas we wsi. Złodzieje wyłamali w nocy drzwi do cerkwi, zabrali skarbonkę i złupili obraz Najśw. Panny z ofiar srebrnych, które pobożni ludzie za doznane łaski i dobrodziejstwa ofiarowali. — Udało się nareszcie schwytać złodzieja, kamrata Franka. Franek znikł bez śladu. Przy indagacji przyznał się ów urlopnik, że go Franek do tej zbrodni namówił i sam drzwi do cerkwi rozbił. Śledzili Franka, ale go wynaleść nie mogli, aż tu jednej nocy powstał we wsi ogromny gwałt wartowników nocnych i we dzwony uderzono. Obudzonych przeraziła wielka łuna pożaru. Gorzały stodoły Franka, które arendarz kupił. Wszyscy pospieszyli na ratunek, bo się to działo w późnej jesieni, gdy stodoły i brogi były pełne. Niebezpieczeństwo było wielkie dla całej wsi. Rzucili się na zagrodę Szymona, boć ta najbliższa i w największym niebezpieczeństwie. Zdzierali poszycie ze stodół i chaty, a sprzęty i dobytek znosili do sadu, pod ową lipę, co to urosła na miedzy. O kilka kroków od niej stała uschnięta grusza. Kiedy płomień objął dach chałupy Franka, a łuna się wzmogła, ujrzeli ludzie z przerażeniem wiszącego na gruszy Franka, z twarzą bladą, okropnie skrzywioną, obróconą ku łunie. Z trwogi pouciekali wszyscy,

aż kiedy nad ranem pożar ustał i Szymona zagrodę Bóg ochronił od niebezpieczeństwa, zabrał sędzia wójta i woźnych i poszli zdjąć wisielca. Pod nogami jego leżała skradziona skarbonka cerkiewna, a w niej były wszystkie ofiary i pieniądze nietknięte. Po skarbonce wspinał się Franek do gałęzi, na której się powiesił, a nogi dostawały ziemi. Mógł się uratować, kiedy mu straszna śmierć w oczy zajrzała, ale widać takie było zrządzenie Boga na postrach złych ludzi. Ciało jego zawieźli po za cmentarz i pochowali bez księdza, w niepoświęconej ziemi, pod parkanem cmentarnym.

Dziś nikt tamtędy nie przejdze wieczorem, a ojcowie ze zgrozą opowiadają synom swoim, do jakiej to zbrodni i hańby prowadzi niezgoda.

Szczęsny z Żółkwi.

SIEROTA.

Świeci słońce, świeci,
Pada deszczyk złoty,
Tyleć tutaj szczęścia
Dla biednej sieroty.

Zaszło słońce w chmury,
Powiał wiatr ponury —
Rusza w świat nieboga,
Gdzie powiedzie droga.

„Czy w lewo czy w prawo
Ścieżka mnie powiedzie,
Przecież kiedyś Pan Bóg
Zrobi koniec biedzie;

„Przecie kiedyś Boże
Biedną główkę złożę,
Ptacy wezmą ciało,
Anioł duszę białą.“

Zimny wiater wieje,
A krzemienna droga —
Obdarto i boso
Idzie w świat nieboga.

A gdzie spotka ludzi,
To milcząco idzie;
A gdzie boża męka
Do paciórka klęka.

Idzie, idzie, i tak
Myśli sobie biedna:
„Gdyby się schyliła
Do mnie ręka jedna!

„Gdyby na mnie biedną
Padło oko jedno
I spojrzało mile
O! tylko na chwilę!“

Wtem z kościółka z wieży
Gdzieś na Anioł dzwonią
I jak posły Boże
Słodkie dźwięki gonią.

Dziewczę rączki składa,
Na kolana pada,
Biedę zapomniało,
Bogu zaspiewało.

A wciąż gdzieś z daleka,
Jasny dzwonek dzwoni,
Jakby wołał biedną,
Chciał coś mówić do niej.

Wstała i o biedzie
Zapomniawszy, idzie
I spiewa wesoło
Aż głośno w okolo.

Rycerze świętego Jana.

Wiadomo każdemu, jakie to straszne narody byli Tatarzy i Turcy. Przez pięćset lat uderzali na kraj nasz, pustoszyli go ogniem i mieczem. Palili wioski, rabowali miasta, tysiące ludu w niewolę pędzili. Chcieli opanować cały świat, i temu tylko pozwalali żyć spokojnie, kto się upokorzył przed nimi i poddał się pod ich władzę. Ale ojcowie nasi stali wytrwale przy wierze świętej i bronili nieustannie ziemi rodzinnej, aż się Pan Bóg zmiłował i dał nam pobić ich kilka razy tak potężnie, że już zaprzestali swoich napaści.

Nie wszystkie narody potrafiły się tak dzielnie obronić, jak Polacy. Szerokie kraje zawojowali Tatarzy i Turcy, podbili wiele królestw, a na miejsce świętego krzyża Chrystusowego zatknęli na wieżach kościelnych półksiężyce swoje, co u nich jest znakiem wiary. Przemienili kościoły chrześciańskie na swoje świątynie, a mnóstwo ludu na swoją wiarę nawrócili, to namową, to gwałtem — ot właśnie jak sobie teraz poczynają Moskale na Litwie i Rusi.

Zawojowali także Turcy i Tatarzy *Ziemię Świętą*, to jest ten kraj, w którym Chrystus Pan przyszedł na świat i gdzie poniósł śmierć męczeńską dla zbawienia naszego. Opanowali Betlejem, Nazaret, Jerozolimę. Do tych miejsc świętych bardzo wiele pielgrzymów chrześciańskich podróżowało, a musieli opłacać się Turkom i znosić i urągowiska. Często rozbójnicy tureccy napadli gromadę pielgrzymów, pozabijali ich, albo zabrali i sprzedawali jako niewolników.

Ci, którzy powracali z Ziemi Świętej, opowiadali o upokorzeniu chrześciaństwa, mówili jak straże tureckie stoją przy Grobie Chrystusa Pana, jak klucze od kościoła Grobu są u tureckiego starosty, który od pielgrzymów ostatni grosz wydziera za pozwolenie nabożeństwa. Opowiadali, jak te wszystkie

ziemie, gdzie była kolebka wiary Chrystusowej, są teraz spustoszone przez pogan, tak że ledwie ślady pozostały, że tam dawniej było chrześciaństwo. Te opowieści o srogim ucisku tureckim, tak poruszyły chrześcian we wszystkich krajach, że Papież ogłosił wielką wyprawę wojenną, aby Ziemię Świętą odebrać. Ruszyły mnogie hufce wojowników z przeróżnych narodów: Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy, szli razem zgodnie pod chorągwią krzyża. Tysiące i setki tysięcy ochotników ciągnęło na Wschód, na wojnę o oswobodzenie Grobu Zbawiciela. Udało się szczęśliwie zdobyć Jerozolimę i całą Ziemię Świętą. Ale Turcy nie chcieli tak łatwo wypuścić z rąk tego kraju, i ciągle wojnę prowadzili, i napadali Jerozolimskie królestwo, tak że trzeba było bez przerwy być gotowym do boju.

Ci ochotnicy chrześciańscy, co to wojowali z poganami, po zdobyciu Jerozolimy nie wszyscy pozostali w Ziemi Świętej, ale wielu powróciło do swoich rodzin, do swojego kraju. Ci co w Jerozolimie pozostali, nie mogli się dobrze obronić napadom tureckim. Jeszcze w mieście byli bezpieczni, ale za murami miasta groziły im bandy tureckie, rabujące po kraju. Biedni pielgrzymi, co z dalekich stron, lądem i morzem podróżowali, aby oglądać żłób w stajence Betlejemskiej, domek w Nazaret, Kalwaryę i inne miejsca święte — znowu byli narażeni na napaści tureckich rozbójników.

W tym czasie więc powstało w Jerozolimie bractwo pobożne, dla obrony pielgrzymów, i kilku rycerzy poświęciło się na to, że będą strzedz wędrujących gromad chrześciańskich i zasłonią ich od Turków. Ślubowali oni zakonne, surowe życie, przyjęli ubiór zakonny: biały płaszcz z czerwonym krzyżem na piersiach. Zawsze z bronią w ręku, okuci w żelazo, byli gotowi do boju przeciw niewiernym. Nazwano ich *„Rycerze świętego Jana“*, bo mieli swój klasztor koło kościoła świętego Jana w Jerozolimie, a obok mieli szpital dla pielgrzymów, których pielęgnowali tak troskliwie, jak odważnie bronili ich na polu bitwy.

Trwało tak przez sto lat, ale nareszcie Turcy wzięli górę i zaraz zabrali Jerozolimę. Rycerze świętego Jana nie chcieli porzucić swojego świętego powołania, a kiedy raz już oddali

swoje życie na wojnę z poganami, to już chcieli przy tem pozostać. Osiedlili się na wyspie, nazwanej Rodus, a potem, kiedy tam utrzymać się nie mogli, przenieśli się na wyspę Maltę, w pobliżu ziemi włoskiej, kilka dni drogi morskiej od Rzymu.

W owych czasach potęga turecka była ogromna. I na lądzie i na morzu — wszędzie prześladowali oni chrześcian. Wielkie mnóstwo tureckich zbójców morskich żeglowało po morzu. Napadali okręty kupieckie, napadali nadbrzeżne wioski i miasta. Prowadzili wielki handel niewolnikami chrześcijańskimi, których pochwytali i za drogie pieniądze w pogańskie kraje sprzedawali.

Okręt zbójecki miał zwykle kilka lub kilkanaście armat, ukrytych tak, że można było uważać go za spokojny statek handlowy. Mogli zatem zbójcy morscy zbliżyć się do okrętu kupieckiego, który niczego złego nie obawiał się i nie myślał uciekać. A jeżeli nawet dostrzegli kupcy niebezpieczeństwo, jeżeli zobaczyli czarną chorągiew rozbójników, którą ci na szerokim morzu wywieszali otwarcie, to nie mogli uciec, bo okręt ich był i obładowany towarami i zbudowany nie do prędkiej żeglugi, ale do przyjęcia wielkiego ładunku, — więc nie mógł poruszać się szybko, podczas gdy okręt zbójecki pędził jak strzała, doganiał przeciwnika i wnet palił do niego z armat. Gdy się przybliżyli rozbójnicy, zarzucali pomost i wpadali na okręt kupiecki, a jeżeli załoga nie poddała się, to wszystkich wymordowali; chyba młodszych zostawiali przy życiu, aby ich sprzedać jako niewolników.

Otóż rycerze świętego Jana osiedlili się na wyspie Malcie, i postanowili walczyć przeciw rozbójnikom morskim. Mała wysepka Malta, w środku morza położona, bardzo była do tego dobrem stanowiskiem. Okręta włoskie, francuzkie, hiszpańskie, które płyną do Azyi, do Konstantynopola, do Egiptu, odpoczywają w Malcie, aby nabrać świeżej wody na podróż dalszą. Mieli więc teraz chrześcianie bezpieczną przystań.

Rycerze świętego Jana uzbroili wiele okrętów, któremi żeglowali po morzu, a skoro spotkali zbójecki okręt turecki,

zaraz wydawali mu bitwę, lub zmuszali go do ucieczki. Tym sposobem bardzo zasłaniali handel morski krajów chrześcijańskich.



Obrona wyspy Malty.

Cesarz turecki w Konstantynopolu, którego wszyscy Turcy i Tatarzy uznają jako swego władcę, odbierał zwykle od rozbójników morskich bogate podarunki, a za to swoję opiekę

im zapewnił. Skoro doszło do jego wiadomości, że rycerze świętego Jana tak dzielnie bronią chrześciańskich okrętów, więc postanowił zdobyć Maltę i wyspę tę pod swoje panowanie zagarnąć.

Wyprawił cesarz ogromne wojsko, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, tak że zaledwie pomieścili się na małej wysepce. Okręta tureckie zagrodziły przystęp wszelkiej pomocy, jakaby mogła nadejść do Malty z krajów chrześciańskich. Było zaledwie sześćset rycerzy świętego Jana, a wojska wszystkiego tylko kilka tysięcy ludzi mieli. Wprawdzie miasto, gdzie się zamknęli, było dobrze obwarowane, ale olbrzymie armaty tureckie, wymierzone ku murom, groziły śmiercią i zniszczeniem. Jak daleko spojrzeć okiem z wież miasta, wszędzie bielały tureckie namioty i żagle okrętów tureckich. Z nikąd pomocy — tylko w Bogu i w nieustraszonej odwadze nadzieja.

Rycerze świętego Jana nie zwątpili, ale przysięgli, że do ostatniej kropli krwi bronić będą miasta, a sztandaru z krzyżem Chrystusowym nigdy nie uchylą przed półksiężycem tureckim. (Zobacz obrazek)

Wodzowie tureccy, ufni w swoją potęgę, w tłumy wojsk i setki armat zionących ogniem, zadziwili się niezmiernie, kiedy rycerze świętego Jana odpowiedzieli im, że się nie poddadzą. Rozpoczęło się oblężenie, które trwało przez cały rok. Turcy zasypywali miasto gradem kul, podkopywali się, aby mury wysadzić w powietrze, przypuszczali wściekłe szturmy — ale wszystko daremnie. Rycerze świętego Jana odpierali wszelkie napady, a na wyszczerbionych murach stawili z własnych piersi wiezwyciężoną zaporę W końcu Turcy znużeni długą walką, straciwszy mnóstwo swoich od oręża chrześciańskiego, musieli odstąpić. Ogromna armia cesarza tureckiego ze wstydem powróciła do Konstantynopola, pokonana przez nieugiętą wytrwałość małej garstki chrześcian.

Odtąd rycerze świętego Jana nie byli napastowani na wyspie swojej. Malta została gościnną przystanią dla chrześcijańskich żeglarzy. Okręty zbójeckie, wypływające na łup, uciekały spiesznie ku brzegom swoim, ilekroć zdala na morzu

ujrzeli rozbójnicy białą chorągiew z czerwonym krzyżem, a modlitwy i błogosławieństwo całego chrześciańskiego świata towarzyszyły nieustraszonym rycerzom w podróżach i bitwach morskich, na które narażali się nieustannie dla bezpieczeństwa bezbronnych żeglarzy.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Uprawa koniczyny.

Uprawa koniczyny daje każdemu gospodarzowi możność otrzymania dużo paszy, a tem samem możność urobienia wiele gnoju. Ponieważ pasza i gnój najważniejsze są w gospodarstwie rolnem, więc też podług tego, czy kto sieje koniczynę, czy nie, można poznać, jakim jest gospodarzem. Gdzie nie znają koniczyny, tam nędzne bydło, tam mało gnoju, a przeto całe gospodarstwo nie wiele warte.

Koniczyna rośnie na wszystkich gruntach, tylko nie na kwaśnych torfowiskach, na lekkim piasku i na ciężkiej garncarskiej glinie, zwanej także iłem. Koniczyna nie zasiewa się nigdy sama, podsiewamy ją najczęściej pod ozimine albo pod jarzynę. Podsiewanie pod ozimine zasianą w jesieni, dzieje się dopiero na wiosnę. Drobniutka i nierozwinięta dobrze koniczyna wymarzłaby przez zimę, gdybyśmy ją razem z oziminą zasiali. Z samego początku wiosny, w pierwszych dniach marca, skoro tylko ziemia odtaje, i śnieg zniknie, zanim jeszcze ruszy się ozimina i zacznie zielenić, należy zaraz zabrać się do siewu koniczyny. Jeśli ziemia ma dosyć wilgoci, to oprócz siewu na polu ozimem żadnej innej roboty nie będzie.

Koniczyna z samej wilgoci sklepana deszczem, o co na wiosnę nie trudno, choć nie przykryta ziemią, przyjmie się i wyda bujny plon.

W jarzynę uskutecznia się podsiewanie koniczyny zaraz. Po przykryciu ziemią zasianej jarzyny, należy pole gładko bronami wyrównać i zaraz siać koniczynę. Ponieważ siejba ta przypada w maju, kiedy ziemia daleko już suchsza, to też

rozumie się, że na sianie koniczyny należy rolę dwa razy zbronować, aby ją ziemia na pół cala przykryła. Na morg pola należy wysiać trzy garnce koniczyny, 4 garnce także nie będzie za wiele; wtedy bowiem koniczyna gęściej schodzi i niepozwala rozrastać się chwastom.

Z tego, co dotychczas powiedziałem, widzicie najlepiej panowie gospodarze, że koło uprawy koniczyny niewiele zachodu, a korzyści mimo to wielkie. Zasiać i zbronować, oto cała praca, a jeśli siejecie koniczynę w oziminę zaraz z początku wiosny, kiedy jeszcze ziemia dosyć wilgotna, to i bronować nie trzeba — wystarczy sam siew.

Zboże (tak ozimina jak jarzyna) rośnie szybko, wzbija się w górę i osłania swym cieniem koniczynę, która nadzwyczaj lubi wilgoć. Z początku, dopóki zboże jeszcze nie zżęte, koniczyna trzyma się nisko przy ziemi i swemi drobnemi listkami bynajmniej nie przeszkadza rozwijaniu się zboża. Zato po żniwach rozrasta się bujnie, zaczyna kwitnąć, i wtedy to najlepszy czas do kośby. Mamy więc z jednego pola dwa żniwa: najpierw ozyminę czy jarzynę, a dalej doskonałe siano, które bydło z wielkim smakiem pożywa.

W drugim roku, już z początkiem wiosny, koniczyna silnie się rozrasta, a z końcem maja, najdalej z początkiem czerwca, można ją już kosić. Drugie cięcie następuje w sierpniu. Przy średnim urodzaju, daje morg koniczyny, dwa razy koszony, 40 cet siana — może dać jednak daleko więcej. Wreszcie w trzecim roku nie opłaciłoby się wprawdzie kosić koniczynę, ale na pastwisko dla bydła jest jeszcze bardzo dobra — i do połowy czerwca bydło się na niej dobrze wyżywić może. Jeśli zachodzi obawa, by bydło na tem pastwisku koniczynnem nie dostało wzdęcia, to w takim razie należy rano przed wypędzeniem potrząść mu w żłoby trochę słomy. Gdy bydło trochę słomy przegryzie, nie będzie tak chciwie koniczyny chwytać, a tym sposobem uniknie się wszelkiego niebezpieczeństwa. Ponieważ nasienie koniczyny bardzo jest drogie, to też każdy gospodarz powinien część koniczynnego pola przeznaczyć na zbiór nasienia. Najstosowniejsze ku temu jest drugie cięcie

koniczyny (w drugim roku), wtedy bowiem koniczyna mało daje liścia, a zato wiele kwiatu. Część koniczyny przeznaczonej na ziarno nie kosi się, przeciwnie zostawia się ją tak długo, dopóki zupełnie nie dojrzeje. Ciemno-brunatny kolor kwiatu koniczyny jest znakiem, że już dojrzała; wtedy można ją zbierać. Po ścięciu zostawia się ją w polu, aż zupełnie wyschnie. Przez ten czas należy ją jak najmniej przewracać, gdyż przy każdem przewracaniu dużo ziarna wylatuje. Kiedy kwiat koniczyny z łatwością w palcach na proch rozetrzeć można, jest to znak, że koniczyna zupełnie wyschła, i że ją już zwozić można. Zwozić ją należy na wozach wyścielonych płachtami, żeby po drodze dużo ziarna się nie marnowało. Jeszcze lepiej jest na polu odrazu ją wymłócić. Gnoju bydlęcego koniczyna wprawdzie nie potrzebuje, ale zato szególnie lubi, żeby ją posypać popiołem, w drugim roku, kiedy się zacznie zielenić. Koniczyna nawieziona popiołem daleko lepszy wydaje plon. O popiół nie tak trudno; mogą go gospodynie wyrzucać na śmiecie, to lepiej rozsiać na koniczynę, — nic to nie kosztuje. Tak samo jak popiołem, dobrze jest także posypywać koniczynę mąką z gipsu, ale o to już trudniej. Rodzaje koniczyny są różnorakie. Najbardziej używana jest koniczyna czerwona i koniczyna biała. Pierwsza rośnie silniej, wyżej, i daje więcej siana, ale zato potrzebuje też lepszej roli, druga biała, udaje się także i na słabych gruntach.

A. R.

Rozmaitości.

Zorza północna. Oj kumotrze źle będzie, źle! Chmury krwawe, czerwone, obciągnęły sklepienie niebios. Boże zlituj się nad nami! — odwróć plagi, jakie na nas zesłać zamyślasz!

Tak mówił gospodarz Wacław Grądziel, jeden z najstarszych i najpoważniejszych w całej wiosce,

— Boże zlituj się! — Od powietrza głodu ognia i wojny, zachowaj nas Panie!—powtarzali w około zgromadzeni gospodarze. I patrzyli na niebo czerwone, pokryte jakby krwią ludzką, którą tam gdzieś aż we Francyi tak obficie przelewają Prusacy Niemcy. I wszystek lud w strachu kupił się razem, i coraz smutniej pozwieszali głowy, i coraz więcej strach ich przejmował, jak gdyby i u nas już wkrótce krew lać się miała.

A działo się to, jak sobie dobrze wszyscy przypominacie, w październiku tego roku, dwa tygodnie temu wieczorem, już długo po zachodzie słońca.

Tymczasem owa łuna czerwona, jest to tak nazwana *zorza północna*, i nic złego nie zapowiada. Gdyby ktoś z was — a było już wielu takich ludzi co tam byli — poszedł het daleko, bardzo daleko na północ, zobaczyłby rozmaite cuda, jakich my nie widzimy — a również by się zdziwił, że tam blisko przez trzy miesiące słońce prawie zupełnie nie świeci, a na niebie za to ciągle stoi czerwona, krwawa, ognista łuna — o wiele jaśniejsza i świetniejsza od tej, jaką i wy tu niedawno widzieliście. Jest to zorza północna, tak tam zwyczajna, jak u nas wschód i zachód słońca, dzień i noc, wiosna i lato, którym przecież nikt się u nas nie dziwi.

Otóż i u nas czasem, kiedy na północy śniegi spadną, a niebo czyste, jasne, pokazuje się zorza — ale nie jest żadną zapowiedzią ani głodu, ani ognia, ani wojny, ani innego żadnego niebezpieczeństwa. Ona ukazać się musi, podobnie jak twarz człowieka w lustrze, kiedy przed nim stanie. Boć i ona świeci na północy jak u nas słońce. A kiedy śniegi spadną, odbija się w śniegu — a ztąd i na niebie, jeżeli jest pogoda wszędzie. A ponieważ rzadko się zdarza, aby niebo było aż tak daleko i szeroko pogodne, więc i zorza północna rzadko się u nas ukazuje.

Nie można zatem znaków takich uważać za przepowiednią nieszczęść żadnych, bo one ukazać się muszą, jeśli zajdą stosowne warunki.

Tak samo i komety biegają po niezmiernych przestrzeniach niebios, a kiedy przychodzi na nie czas, wtenczas się ukazać muszą, bo taki ich bieg. Słońce wschodzi i zachodzi, gwiazda świecą, jeżeli w nocy pogoda, księżyca (miesiąc) ubywa i przybywa a przecież nikt się temu nie dziwi, bo się to zawsze działo i dzieje. Tak samo i zorza i komety — a dla tego tylko dziwne się wydają — że je rzadko widzimy.

I wojny, i głodu nie będzie, jeśli się weźmiemy do pracy, do nauki, do oświaty — jeśli zamiast u żyda w karczmie, lub na jarmarku, będziemy chodzić około gospodarstwa, czytać książki pożyteczne i oświecać się wzajemnie.

* Już po północy wracał pewien pan, co to w okolicy za najmędrszego uchodził, kobyłką w małe saneczki zaprzężoną do domu. Wtem ni z tąd ni z owąd kobyłka się wyprzęgła. A to sęk! — i nie umiał sobie poradzić. Płakać? — na co się zdało? Śmiać się? — jakoś nie miał ochoty. A nuż wilk usłyszy, to już i po kobyłce i po mnie. Więc panisko się biedzi, a myśli, a stęka, a wzdycha.

Wtem nadciągnął chłopek z sosienką na wózku.

— Niech będzie pochwalony, zacznie pierwszy panisko, i nuż w prośby do chłopka, by mu zaprzągł kobyłkę.

— A zkądże to łaskawy panie, pyta chłopek.

— Z Kraśnika.

— O! to chyba nieprawda!

— A to czemu?

— Boć to wszyscy ludzie wiedzą, że pan z Kraśnika, to najmędrszy człowiek na całe mil sto w około, a pan i kobylki zaprządz nie umie.

Zawstydził się bardzo dobry panisko, a chłopek zaprzągł już tymczasem kobyłkę.

* Korzeniowska, Łowczyna wołyńska, gdy usłyszała, że się panienka chwali ze swojej piękności, powiedziała:

— Mościa panno! — twarz się z czasem zmieni — a cnota zawsze piękną pozostanie.

* Pociejową kasztelanową Trocką (kasztelan był komendantem zamku obronnego — a takich było bardzo wiele w Polsce dla obrony przeciw Niemcom, Turkom, Tatarom i Moskalom) namawiali do gry w karty na wielką stawkę. Ona zaś nie chciała ich ich usłuchać, — a ztąd jej powiedzieli, że jest bojaźliwą. Na to odpowiedziała:

— Jestem bojaźliwą, gdy przychodzi na los puszczać to, co mi opatrzność z krwawego potu chłopków udzieliła.

* Piotr Opaliński, wojewoda poznański, wystawił własnym kosztem chorągiew usarską na wojnę moskiewską. (Co to byli usarze czytaliście już w Dzwonku, chorągiew usarska był to znaczny oddział wojska, kilkaset ludzi, okutych w zbroję żelazną, świetnie ubranych, na dzielnych, tęgich koniach, tak że na wystawienie i uzbrojenie takiej chorągwi nie stać by było teraz prawie żadnego wielkiego pana.) To też Chodkiewicz hetman koronny (najwyższy dowódzca wojska polskiego) zdziwił się niezmiernie takiej hojności i zapytał:

— I cóż cię to Mości wojewodo skłoniło do tak wielkiej ofiary?

Na to odpowiedział wojewoda:

— Mam żonę, dzieci i majątek, jednej mi jeszcze rzeczy nie dostaje, oto sławy i chwały z dzieł moich i zasług dla milej ojczyzny, i dla niej to tutaj do obozu przybyłem.

* Koniecpolski Stanisław, hetman wielki koronny, zwycięzca Turków i Tatarów, miał przytrudną wymowę i jąkał się nieco. Ztąd żołnierze, ponieważ był dzielnym i odważnym w boju, mawiali o nim: Pan Stanisław wprzód uderzy, niż wymówi.

* Ostroróg wojewoda poznański mawiał: Nie grzesz a nie żałuj, nie łaj a nie przepraszaj, nie daj a nie wydzieraj.

* Radziejowski, kardynał, zafrasowanemu królowi polskiemu Jan. Kazimierzowi powiedział: Miłościwy Panie! na świecie jak w łaźni, im kto wyżej siedzi, tem bardziej się poci.

* Gdy Jan III. król polski, pod Wiedeń odjeżdżał, aby pomódz cesarzowi i obronić chrześcijaństwo przed Turkami — spostrzegł, iż żona jego trzymała synka małego na ręku i płakała. Spytał jej więc, dlaczego płacze? Na to ona odpowiedziała:

— Bolesno mi jest, że to dziecię jeszcze nie może iść razem z tobą i walczyć przeciwko Turkom niewiernym, w obronie wiary i całego chrześcianstwa.

* Załuski Jędrzej, biskup polski w Warmii, tak mawiał, aby zachęcić ludzi do nauki:

— Nauki uczą młodych umiarkowania, starym pociechę przynoszą, dla ubogich są majątkiem, a bogatych zdobią;

* Stańczyka błazna na dworze króla Zygmunta Augusta prosił ktoś o pożyczenie opończy (sukni wierzchniej). Stańczyk zapytał:

— Mości panie, czy pada deszcz, czy nie?

— Nie, odpowiedział proszący.

Na to Stańczyk:

— Bracie! ponieważ deszcz nie pada, nic ci po opończy, a gdy będzie deszcz padać, mnie jej samemu będzie potrzeba.

* Tenże sam Stańczyk zobaczył raz w Warszawie, ża za każdą z bogatych pań poduszkę do kościoła niesiono. Zbliżył się zatem do nich i zapytał, jakby o niczem nie wiedział:

— Czy panie w kościele spać będziecie?

Złote ziarna.

Gospodarz długo spiący zrobi zbioru mało,
Spał dosyć, gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

Przysłowie niesie jaki pan i słudzy tacy,
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

W zagrodzie i blisko niej, niech się nić nie pali,
Ogień wielu pogubił, co mu dowierzali.

Miej dozór, twój robotnik, żeby nie próżnował
Miej litość, i nad siłę żeby nie pracował.

Nie polegaj ze wszystkiem na innich posłudze
Ile można sam dojrzyj — ślepe oczy cudze.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Dziś napraw, co potrzeba koniecznie naprawić,
Jutro może taż praca dwukrotnie zabawić.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.